

nie

z tego

świata



*kelly creagh*

nie  
z tego  
świata

Przełożyła: IWONA WASILEWSKA



Tytuł oryginału: *Strange Unearthly Things*

First published in the United States of America by Viking,  
an imprint of Penguin Random House LLC, 2023

Copyright © 2023 by Kelly Creagh

Jacket Art © 2023 by Amanda Larkins  
Jacket Design by Jessica Jenkins

Copyright © for the translation by Iwona Wasilewska

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Redakcja: Justyna Chareża  
Korekta: Magdalena Magiera, Justyna Techmańska  
Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-281-8

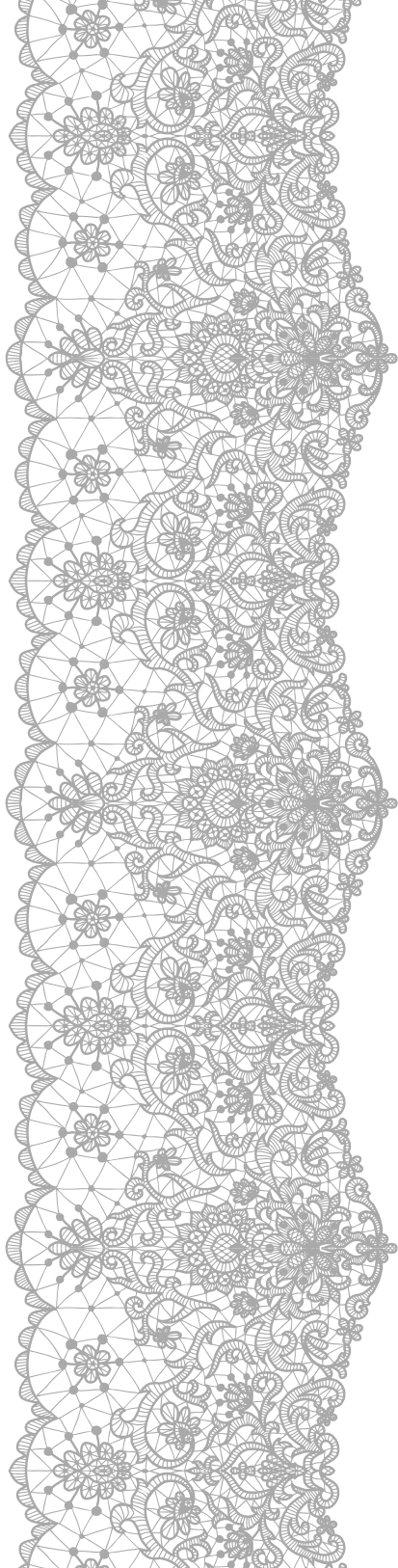
Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

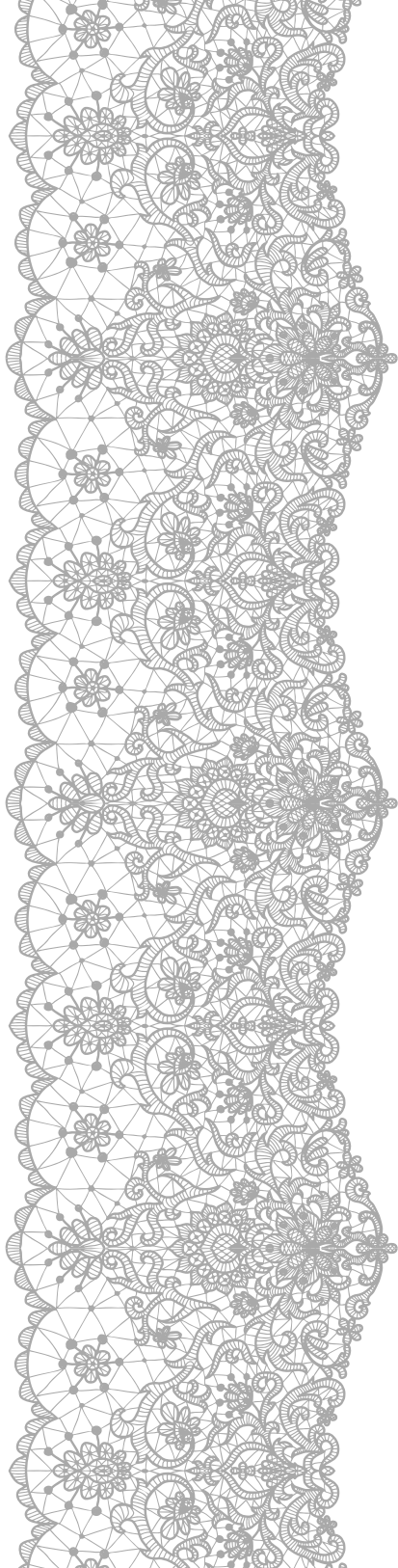
Druk i oprawa: Abedik  
Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4,  
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

**M**ojej przyjaciółce Jeannine.  
Jane miała Helen, a ja mam Ciebie.



„Całe moje serce jest twoje, mój panie:  
do ciebie należy i z tobą pozostanie,  
gdyby nawet los wygnał mnie od ciebie na zawsze”

CHARLOTTE BRONTË,  
*Dziwne losy Jane Eyre*  
(tłum. Teresa Świdarska)





30 maja

Elias Thornfield  
Dwór Fairfax  
Bakewell  
Derbyshire, DE55 5LA  
Wielka Brytania

Panna Jane Reye  
Szkoła dla dziewcząt Lowood  
1847 Gateshead Way  
Corydon, IN 47112  
Stany Zjednoczone Ameryki

Szanowna Panno Reye!

Choć zaiste cieszy mnie, iż zgodziła się Pani przyjąć moją propozycję, czuję się w obowiązku po raz ostatni zaznaczyć, iż nie jest to przedsięwzięcie, w które angażować się należy lekko-myślnie. Nękające Fairfax nieziemskie siły są niezwykle w swej naturze i stwarzają realne zagrożenie. Ostrzegam jako osoba, która miała z nimi bezpośrednią styczność.

Jako iż podpisała Pani dokument, w którym zwalnia mnie Pani z odpowiedzialności za wszelkie krzywdy, które stać się mogą Pani udziałem, tuszę, iż czuje się Pani w mocy, by stawić czoła wspomnianym wcześniej nadnaturalnym bytom. Proszę mi jednak wierzyć, iż istnieje dobry powód po temu, by oferowane przeze mnie wynagrodzenie było tak wysokie.

Ogłędnie rzecz ujmując – niebezpieczeństwo jest wielkie i nie wolno go lekceważyć.

Być może pocieszy Panią, że nie będzie Pani w swej pracy odosobniona. Dołączy do Pani niewielka grupa – podobnie jak Pani – uzdolnionych osób. Ośmielam się wyrazić nadzieję, że ktoś z zaangażowanych przeze mnie ludzi, a może wszyscy, odniesie sukces.

Jeśli, zapoznawszy się z moją ostatnią przestrogą, wciąż jest Pani gotowa, by zająć się przedstawioną przeze mnie sprawą, w załączeniu znajdzie Pani szczegóły dotyczące lotu, a także bilety, informacje na temat zakwaterowania oraz harmonogram prac.

Po przybyciu do Fairfax powita Panią mój kamerdyner oraz gospodarz, pan Poole. Wskaże wyznaczoną kwaterę i odpowie na wszelkie ewentualne pytania.

Pani pobyt w Fairfax potrwa do czasu, aż wraży byt przestanie mnie prześladować (na co mam nadzieję) albo najdalej do dnia 16 lipca.

Zakwaterowanie i wyżywienie zostaną Pani zapewnione.

Z serdecznymi pozdrowieniami

*Elias Thornfield*

**Ś**wietnie. Wrócił.  
Byt.

Albo, co bardziej prawdopodobne, nigdy sobie nie poszedł. Fantastycznie. Kolejny cień – właśnie tego zawsze chciałam. Jak zazwyczaj, ten duch – albo czymkolwiek jest ta istota – jest tylko swego rodzaju wrażeniem. Obrazem i odczuciem połączonym w jedno, choć wszelkie szczegóły są zamazane, przesłonięte przez hałasy i wydarzenia świata jawy.

Koncentracja jest niczym latarka oświetlająca cienie, które spotykam, nigdy jednak nie znam całego obrazu, póki nie przyłożę węgla do kartki i nie narysuję tego, co „widzę”.

Akurat temu cieniowi nie mam ochoty za bardzo się przyglądać, nie spieszy mi się, by nadać mu bardziej konkretny – czarno-biały kształt. Skutecznie wymigiwałam się od tego przez ostatnie cztery tygodnie, przekonując sama siebie, że uparte paskudztwo wreszcie się zmyje.

Na własnej skórze przekonałam się już, że obdarzanie podobnych istot choćby odrobiną uwagi potrafi przyciągnąć je bliżej. Co więcej – boję się, że jeśli zdecyduję się wreszcie narysować podejrzanego natręta, okaże się czymś innym niż tylko duchem.



Cóż, czy właśnie nie to podpowiada mi intuicja?

Żeby się przekonać, czy mam rację, musiałabym... Tak, musiałabym to coś narysować.

Zdegustowana, otwieram oczy i koncentruję spojrzenie na siedzącym przede mną pasażerze. Wsluchuję się w szum silników boeinga, który – tak samo jak moje życie – sunie naprzód z prędkością, której nie czuć.

Niebem, które przecinamy, rządzi ciemność, a tysiące mil poniżej burzy się Atlantyk. Burzą się również podświetlane błyskawicami chmury za niewielkim okienkiem samolotu.

Deszcz chłoczce wielowarstwowy, przejrzysty akryl. Mój umysł jest równie niespokojny jak pogoda.

Tak wielu rzeczy nie wiem.

Nie chodzi tylko o to, czym jest ten podążający za mną byt albo czego właściwie ode mnie chce.

Nie wiem na przykład, czego się spodziewać po Fairfax, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Cóż, z czym jeszcze.

Najbardziej jednak niepokoi mnie to, że nie mam pojęcia, co będzie po tym zleceniu. Ta upiorna pustka kolejnych dni mojego życia? Och, ona przeraża mnie o wiele bardziej niż jakikolwiek niematerialny upierdliwiec.

Zaciskam zęby i zduszam w sobie chęć wybiegania myślą zbyt daleko w przód.

Rany. To coś mnie stresuje. Jak. Jasna. Cholera.

Nie spodziewałam się, że powlecze się za mną aż do Anglii.

Chyba liczyłam na to, że ucieknę przed tym bytem jak przed wszystkim innym. Że zostawię go w Ameryce, tak jak paskudny sweter, o którym można „zapomnieć”. Cóż, w tej chwili moja obawa, że Fairfax i natrętna istota są w jakiś sposób połączone, zdaje się coraz bardziej uzasadniona.

Tak czy siak, naprawdę nie chcę wkraczać na nową scenę w sposób, który praktykuję w większości życiowych sytuacji – to znaczy z bagażem własnych problemów.

W końcu chodzi o całą kupę kasy. O kwotę wystarczającą, żebym mogła spokojnie funkcjonować, nim wymyślę, w jaki sposób miałabym zarabiać na życie. Taką ilość forsy, że starczy mi na kupienie sobie markowego serka do kanapek, a nie tylko tego świństwa z dyskontu...

Miła perspektywa, zwłaszcza że nie mam w tej chwili dość pieniędzy, żeby zapłacić za lot powrotny. I nie żebym zamierzała wracać. Na pewno nie do Lowood.

Istnieje oczywiście pewien niewielki problem, bo tak się składa, że mam pomóc wykopać z Fairfax miejscową zmoreę, a nie importować kolejną prosto z Ameryki.

Siedzący na miejscu bliżej okna szpakowaty mężczyzna bierze gwałtowny wdech, a ja mocno się wzdrygam. Facet ma zamknięte oczy i drzemie na odchylonym fotelu.

Zazdroszczę mu odpoczynku i ta zazdrość podsycy mój parszywy nastrój.

To ja miałam smacznie spać w samolocie, a potem wylądować w innej strefie czasowej, w innym kraju... W zupełnie innym świecie.

W końcu poddaję się i zerkam w kierunku miejsca, na którym – wedle moich nadnaturalnych zmysłów – ulokował się mój prześladowca.

Fotel wydaje się pusty, po drugiej stronie korytarza siedzi jednak jasnowłosa kobieta w słuchawkach. RzUCA mi nieprzyjazne spojrzenie i wraca do kartkowania kolorowego magazynu.

Gdyby tylko wiedziała, co przycupnęło niedaleko niej... Pewnie rzuciłaby gazetę i zaczęła szukać spadochronu.

Kiedy samolot wpada w kolejne turbulencje, siadam znów prosto. Zazwyczaj obserwatorzy – a przynajmniej ci, których ignoruję – wreszcie się mną nudzą.

Z jakiegoś powodu ten łaknie mojej uwagi. I to na tyle mocno, by czekać, aż wreszcie łaskawie zauważę jego obecność.

Czy właśnie na to czeka?

Z tego, co widzę, mam dwie – równie nieprzyjemne – opcje.

Opcja pierwsza: mogę wciąż ignorować ten byt, co spowoduje, że będę go miała na karku, gdy zacznę nową robotę, której tak desperacko potrzebuję. Opcja druga: mogę go zdemaskować i stawić mu czoła.

Helen. Co zrobiłaby Helen?

Wzdycham i pochylam się, by wyciągnąć spod siedzenia plecak. Wyszarpuję z niego szkicownik i sięgam po węgiel w drewnianej obsadce.

Ułożywszy papier na kolanach, zabieram się do pracy. Najpierw kreślę niezbyt wyraźny czarny kontur. Węgiel podąża za intuicją: to tu, to tam. Moja irytacja oraz – przyznaję – strach powodują, że linie są poszarpane.

Na kartce formuje się niedookreślona, ale wybitnie nieprzyjemna postać.

Szczupła sylwetka, zdecydowanie męska. Rysy twarzy ostre i kanciaste, na wpół skryte pod kapturem ciężkiego czarnego płaszcza. Skóra o barwie popiołu, spękana niczym odłazący od ściany tynk.

W końcu oczy, które... Cóż, te oczy wiele mi mówią.

Nie żebym potrzebowała kolejnego dowodu na to, że instynkt mnie nie zawiodł.

Z cienia rzucanego przez kaptur niczym para świateł drogowych błyskają dwie kule o barwie płomieni, przecięte pośrodku

pionowymi, cienkimi niczym ostrze źrenicami w kolorze czystej czerni.

Jeśli nie liczyć oczu pełnych ławy, istota przypomina dzikie zwierzę w ciemnościach.

Ale jest coś więcej.

Na tle białej skóry połyskuje czarny naszyjnik z zawieszka – pojedynczym smolistym koralikiem.

Wiadomo, nie ma to jak dodatki.

Spękane usta istoty są rozchylone, zupełnie jakby chciała pokazać mi, co kryje ich wnętrze, to znaczy ostre jak brzytwa zęby. Teraz sama mam chęć rzucić szkicownik i poszukać spadochronu.

Ale... nie przestaję rysować. Jest za późno. Wiedziałam o tym, gdy zaczęłam szkic.

W chwili, w której zwolniłam zleceniodawcę z odpowiedzialności. W której weszłam na pokład samolotu.

Kiedy powiedziałam wszystkim w Lowood, co naprawdę o nich myślę.

Moje serce przyspiesza, zupełnie jakby samo było opętane, a dłón kreśli kolejne linie, to poprawia kontur, to dorysowuje szczegóły.

Pasma długich, jedwabistych i białych jak śnieg włosów wymykają się spod kaptura, który po obu stronach głowy postaci ukrywa jakieś... wybrzuszenia. Ciężki materiał obleka kształty przywodzące na myśl baranie rogi.

Nie przestaję.

Dłónie istoty również opowiadają swoją historię. Białe palce, także spękane, płynnie przechodzą w ostre czarne szpony.

Kiedy kończę oddawać ten obsydianowy manicure, wracam do oczu. Bo coś się w nich kryje. Są jak latarnie wiodące ku zagładzie.

A te mroczne rany w miejscu źrenic... Mam wrażenie, jakbym je znała.

Jakbym widziała je kiedyś w koszmarze, którego do tej pory nie pamiętałam.

Jakimś cudem cienie, które lgną do postaci, zdają się niewystarczająco czarne.

Cholera. Nawet mój węgiel nie jest wystarczająco czarny.

*Ja też cię widzę, zdają się mówić te oczy.*

Mówią o wiele więcej, ale nie umiem przetłumaczyć czy oddać tych słów. Nie za pomocą narzędzi, którymi dysponuję.

Uparłam się jednak, by znaleźć odpowiedzi, więc wbrew zdrowemu rozsądkowi wygrzebuje z podświadomości przerażający obraz tego... Tego...

– Czym ty, do cholery, jesteś? – mamroczę pod nosem.

*I czego ode mnie chcesz?*

Tego drugiego pytania nie ośmielam się wypowiedzieć głośno. Odbija się echem w moim umyśle, gdy przerywam pracę, by spojrzeć na szkic. Nagle wszelkie myśli znikają mi z głowy, bo te upiorne oczy – te naszkicowane na kartce papieru – mrugają.

Żołądek podjeżdża mi do gardła. Dłonie tak mi drżą, że nie jestem w stanie postawić kolejnej kreski. Serce wybija ostrzeżenie, którego powinnam posłuchać.

Gdybym tylko wiedziała, przed czym konkretnie mnie ostrzega.

Gdy światła w kabinie zaczynają migotać, zmuszam się, by oderwać się od kartki i ocenić sytuację. By logicznie pomyśleć.

To coś. Nie wiem, czym jest i boję się zgadywać. Ale może pozwalam na to, by mój lęk dawał tej istocie większą moc od tej, którą naprawdę posiada.

Dla przykładu – całkiem możliwe, że to, co wzięłam za mruknięcie, było iluzją optyczną spowodowaną przez turbulencje i problem z oświetleniem. Bo szkice się nie poruszają.

Nawet moje.



Samolot podskakuje, a ja wraz z nim. Na moment tracę kontrolę nad ołówkiem. Linia, której nie zamierzałam rysować, przecina teraz istotę na pół. A także łamie zakłęcie, które dotąd nie pozwalało mi odwrócić spojrzenia od szkicu.

Zerkam na okno i szalejącą za nim burzę i zauważam, że obudził się mój sąsiad. A może w ogóle nie spał? Tak czy siak spojrzenie jego ozdobionych kurzymi łapkami oczu spoczywa teraz na moim szkicowniku. A potem zwraca się na mnie. Gość patrzy i unosi jedną wełnistą niczym puchata gąsienica brew w niemym pytaniu.

Nie mam zamiaru się tłumaczyć. Zaciskam usta w wąską linię, zamykam szkicownik i wbijam wzrok przed siebie.

Czuję, że facet nadal się na mnie gapi, że aż płonie z ciekawości. Na pewno zada zaraz jakieś pytanie, które na zawsze zniszczy naszą symbiotyczną, opartą na wzajemnym ignorowaniu się, relację. Wtedy ja powiem mu, żeby pilnował własnego tyłka, on poczuje się straszliwie urażony i resztę lotu spędzimy w bardzo niezręcznej atmosferze.

W nadziei na uniknięcie jakichkolwiek kontaktów międzyludzkich, które uważam zresztą za znacznie przereklamowane, gaszę moją lampkę, odchylam fotel, zamykam oczy i próbuję pokonać sąsiada jego własną bronią.

W oknach ciemno, psze pana. Nikogo nie ma w domu.

Przez kilka długich minut zmuszam się do rozluźnienia. Chała. Nic a nic z tego nie wychodzi, bo pod powiekami wciąż mam wryty ten zakichany rysunek, niczym nawiedzony negatyw zdjęcia zrobionego w piekle.

Ignoruję ten obraz i staram się zrobić gówniane ćwiczenie z wolnym oddychaniem, którego uczono nas w Lowood w ramach kursu radzenia sobie z agresją. Czekać aż moje serce przestanie walić jak oszalałe, a dłonie drżeć.

Dopiero kiedy się uspokajam, przynajmniej odrobinę, pozwalam sobie po raz drugi rozszerzyć świadomość. Zaciekawiona, zerkam na byt po raz kolejny.

Upiorny nieznajomy zniknął.

I co? I wcale mnie to nie pociesza.

Rozglądam się dookoła. Tym razem sprawdzam zarówno tył samolotu, jak i sam kokpit.

To samo. Otaczają mnie wyłącznie normalni ludzie.

*W tłumie, a jednak samotna* – tak brzmi tytuł albumu o moim życiu. Zawiera takie hity jak: *Dlaczego ja?*, *Znowu to samo* i *WTF*.

Rozlega się grzmot i samolotem znów wstrząsa. Tym razem mocniej. Chwytam podłokietniki i wbijam plecy w oparcie. Nie unoszę powiek, bo nie chcę pozwolić, by opuścił mnie spokój, który przecież prawie już poczułam. I właśnie wtedy chłodna, przypominająca glinę dłoń ścisną moją rękę. Wybałuszam oczy.

Wzdrygam się na ten dotyk. Ale ręka, która mnie trzyma, nie należy do mojego sąsiada.

Pergaminowe, popękane palce ścisną mnie tak mocno, że za moment zmiażdżą mi kości.

Podrywam głowę i spoglądam prosto w pionowe źrenice. Z ciemności smolistych oczodołów patrzą na mnie płonące oczy.

– Ośmielasz się wracać? – Głos, który słyszę, jest głęboki i melodyjny, zupełnie nie pasuje do ciemnych, rozpiętych na czarnych dziąsłach i pełnych ostrych zębów ust. – Poprzednim razem udowodniłem ci, że to nie jest gra – syczy duch, byt, cokolwiek. Ma miękki, lekko śpiewny akcent, którego nie umiem umiejscowić. – Skoro jednak uparłeś się, by odegrać rolę zbawczyni, Jane Reye, ja muszę po raz kolejny zagrać rolę kata. Przecież sama o tym wiesz.

Gdy wypowiada ostatnie słowa, pęknięcia i bruzdy w jego ciele ożywają i rozbłyskują takim samym pomarańczowym światłem jak jego oczy. Jakby miał magmę zamiast krwi.

Ogarnia mnie bijący od niego żar.

Z wrzaskiem wyszarpuję dłoń z morderczego uścisku, rozpinam pas bezpieczeństwa i wyskakuję z fotela.

Potykam się, a szkicownik spada na podłogę. Kiedy opadam na kolana, wokół mnie rozsypują się kartki.

Ciemne wnętrza samolotu wypełniają zdecydowanie zbyt liczne zaniepokojone szepty. Tuż przed nosem mam rysunek istoty, z którą ledwie chwilę temu spotkałam się twarzą w prze-rażającą twarz.

– Młoda damo?

Obracam się i widzę, że na miejscu przy oknie znów siedzi ten sam facet co wcześniej.

Zmartwiony marszczy brwi. Majstruje przy pasie, by go odpiąć i ruszyć mi z pomocą. Cokolwiek dotknie mnie pierwsze – nieważne, człowiek, rzecz czy miejsce – rozwalę to na kawałki.

– Czy coś się stało? – pyta zmięszona w naszą stronę wyraźnie przejęta stewardessa.

– Chyba miała koszmar albo jakiś atak – odpowiada mój sąsiad. – Próbowałam ją obudzić, ale...

Kiedy milknie, unoszę prawą rękę, by sprawdzić jej stan. Wciąż czuję echo bólu, który sprawił mi morderczy uścisk dziwnej istoty. Ból, który przeczy twierdzeniu mężczyzny, jakobym spała.

– Proszę pani, wszystko w porządku? – pyta stewardessa, a jej cień pada zarówno na mnie, jak i na moje wciąż rozrzucone po podłodze szkice.

Gdzieś z tyłu płacze dziecko.

Mamroczę jakąś nieskładną odpowiedź, a potem unoszę wzrok i napotykam setki oceniających spojrzeń. Połowa pasażerów spogląda na mnie z troską, druga połowa zaś z irytacją.

Babka od słuchawek prycha pogardliwie, patrząc to na mnie, to na moje rysunki wyobrażające krzyczące twarze, wykręczone ciała i, cóż – kilka nagich sylwetek.

Zakładam swoje długie, proste i czarne włosy za ucho, po czym drżącymi rękoma zaczynam zbierać papiery, nie dbając o to, czy się nie pogną. Stewardessa przykuca obok mnie.

Jej perfumy o zapachu bzu sprawiają, że aż mnie zatyka.

Z powodu Helen.

– Czy mogę pani pomóc? – Kobieta podaje mi jeden ze szkiców, który nie przedstawia ducha.

– Nie trzeba – mówię krótko i wyjmuję z jej dłoni surrealistyczny rysunek dziewczyny, która ściąga z siebie skórę jak podkoszulkę, ukazując klatkę nagich żeber wypchaną mnóstwem kwiatów.

Tę akurat pracę traktuję z większą troską i wkładam ją do szkicownika pomiędzy inne.

Zmuszam się, by odetchnąć głębiej, by zanurzyć się w pocieszającym zapachu, który moja najlepsza przyjaciółka, moja jedyna przyjaciółka, ukochała najbardziej na świecie.

Nieco tym pokrzepiona, wstaję. Udaję, że nie widzę wyciągniętej do mnie ręki stewardessy.

– Czy pani rodzice są na pokładzie? – pyta kobieta. – Albo ktoś znajomy, z kim mogłaby pani siedzieć do końca lotu?

– Ja... Jestem sama – odpowiadam. Stewardessa nie musi wiedzieć, że nie mam rodziców. Nie musi wiedzieć, że nie mam nikogo prócz Helen ani że, jako osiemnastolatka, jestem wreszcie, dzięki Bogu, wolna.

– Może przynieść pani coś do picia? – nalega kobieta, kierując mnie na miejsce, prosto w objęcia starszego mężczyzny, który teraz unosi obydwie brwi.

– Piwo imbirowe? – mamroczę tylko dlatego, że powiedzenie „odczep się ode mnie” wygenerowałyby zapewne kolejne problemy, a marzę tylko o tym, żeby wszyscy przestali zwracać na mnie uwagę. Chcę znów być niewidzialna.

Stewardessa dotyka lekko ramienia mojego sąsiada.

– Będzie pan miał ją na oku? – pyta, po czym odchodzi, nie dawszy mu czasu na odpowiedź.

– Naprawdę nie trzeba – zapewniam mężczyznę, pospiesznie wpychając szkicownik do plecaka, z którego nie powinnam go była wyciągać. – To tylko sen, miał pan rację. Więcej nie zrobię takiego numeru.

Poza tym naprawdę nie potrzebuję opieki. Nikogo nie potrzebuję.

Przez chwilę mężczyzna milczy. W końcu gestem wskazuje mój bagaż.

– Te wszystkie potwory, które pani rysuje... – mówi z nerwowym śmiechem. – Może spróbowałaby pani narysować coś bardziej... przyjemnego. Jakies tęczce czy króliczki.

Uprzejmie się do niego uśmiecham.

Tyle słów mam na końcu języka.

Przełykam je, choć niemal stają mi w gardle.

Nauczyłam się już, że jeśli chodzi o innych ludzi, najlepiej jest pozwolić im myśleć i mówić, co chcą. Po pierwsze są do tego przyzwyczajeni. Po drugie i tak nikt mnie nie rozumie.

Nikt oprócz Helen. I to się nigdy nie zmieni.

Ale... Cóż, to nie znaczy, że nie mogę na resztę lotu odgrodzić się od ludzkości metaforycznym płótem.

Na resztę lotu, na resztę życia...

– Rysowałabym tęcze i króliczki – mówię, zerkając na upstrzone deszczem okienko, za którym wreszcie zaczyna się przejaśniać – gdybym właśnie je widziała.

Na to gość nie znajduje odpowiedzi.

Po prostu gapi się przed siebie.

Teraz to jego dłonie kurczowo ściskają podłokietniki.